

## **Dzień Przemienienia Pańskiego – fragment książki „Rzeź Woli”**

Zgromadzone w hali przy ul. Górczewskiej kobiety jeszcze w przeddzień rozmawiały o następnym dniu – święcie Przemienienia Pańskiego. Byle go doczekać, bo to znak, że przeżyją. Doczekały. Została uformowana kolumna i pognana poza miasto. Przy wszystkich mijanych domach wzdłuż ulicy Górczewskiej leżały zwłoki pozabijanych ludzi – przeczytaj fragment rozdziału „Dzień Przemienienia Pańskiego” z książki „Rzeź Woli” autorstwa Piotra Gursztyna.

Atak Niemców spychający powstańców w kierunku Śródmieścia nie zakończył się wraz z zapadnięciem zmroku. W niektórych miejscach walki toczyły się w nocy. Żołnierze niemieccy zajęli teren, gdzie stała okazała, czteropiętrowa kamienica Wolska 7, skąd znamy relację mieszkającej tam artystki malarki. Składała ją tuż po wyjściu z Warszawy, więc dla bezpieczeństwa wołała pozostać anonimowa. Najpierw jeden z oficerów niemieckich kazał mieszkańcom spędzić noc w ich domu, zapowiadając, że zostaną wyprowadzeni z miasta w godzinach porannych. Potem jednak przyszli inni żołnierze z gotową do strzału bronią maszynową. Kobieta „wiedziona instynktem” – jak sama to określiła – postanowiła uciekać. Była w piwnicy z synem, ojcem, innymi krewnymi i sąsiadami. Zdążyła przejść do następnego pomieszczenia, ale jej 13-letni syn zatrzymał się, aby wziąć ich plecaki. Nagle rozległy się strzały i słychać był huk granatów. Artystka przeżyła, bo Niemcy nie zajrzeli do dalszych pomieszczeń.

„W mojej obecności zostali zabici: ojciec lat 77, syn lat 13, bratowa w 9. miesiącu ciąży i jej dzieci: dziewczynka lat 7, chłopiec 10, poza tym dozorczyńni 55 lat, jej synowa lat 20 i ośmiomiesięczne niemowlę, jej synek. Poza tym wiele kobiet, razem 16 osób zastrzelonych lub zamordowanych na Wolskiej 7”.

Tą anonimową artystką była Maria Sopoćko-Wąsowicz, autorka drzeworytów i akwarel. Jej zabity przez Niemców syn miał na imię Krzysztof. Ojciec to Rafał Wąsowicz, malarz, którego martwe natury i pejzaże nadal chętnie są kupowane na aukcjach dzieł sztuki. Kamienica przy Wolskiej 7 była jego własnością, miał tam z córką atelier. Wszystko spłonęło. Maria Sopoćko-Wąsowicz po wojnie wróciła do Warszawy i do pracy artystycznej. Cenione są jej akwarele ilustrujące polski folklor. Zmarła w 1987 roku w wieku 91 lat.

Zgromadzone w hali przy ul. Górczewskiej kobiety jeszcze w przeddzień rozmawiały o następnym dniu – święcie Przemienienia Pańskiego. Byle go doczekać, bo to znak, że przeżyją. Doczekały. Została uformowana kolumna i pognana poza miasto. „Niemcy byli tak wściekli, że nie udało im się nas zabić, że strzelali sobie dla rozrywki, na przykład takiemu chłopcu piętę urwało, kogoś trafiło w brzuch. Tak sobie, od czasu do czasu, po kolumnie strzelali”. Ludzie szli, mijając dziesiątki, a raczej setki zwłok. „Przy wszystkich mijanych domach wzdłuż ulicy Górczewskiej leżały zwłoki pozabijanych ludzi. Przy wyjściu z każdego domu – były to przeważnie domy parterowe – z jednej strony sieni leżeli zabici mężczyźni, z drugiej zaś zabite kobiety i dzieci. Przy jednym z domków widziałam leżącą zabitą niewiastę, trzymającą w ostatnim uścisku na ręku martwe niemowlę” – relacjonowała Leokadia Ciekankowska. Udało się je odłączyć od konwoju, bo niosła rannego

dwuletniego chłopca, którego tata został rozstrzelany przy Górczewskiej. Matka chłopca w tym czasie niosła drugie, młodsze dziecko. Strażnicy przymknęli oczy na dwie kobiety, które zostały z dwójką dzieci w przydrożnym rowie.

*Niemcy byli tak wściekli, że nie udało im się nas zabić, że strzelali sobie dla rozrywki, na przykład takiemu chłopcu piętę urwało, kogoś trafiło w brzuch. Tak sobie, od czasu do czasu, po kolumnie strzelali*

Do innych najczęściej strzelali. Po obu stronach drogi ciągnęły się pola z dojrzewającymi pomidorami i ogórkami. Zgłodniali i spragnieni ludzie, zwłaszcza dzieci, nie

potrafili się powstrzymać przed wyskoczeniem w bok i zerwaniem warzyw. Idąc tą drogą, Ryszard Piekarek naliczył prawie 200 ciał osób zabitych z tego powodu. „Niektóre z ciał jeszcze się poruszały, wiele z nich miało w rękach zerwane pomidory i ogórki. Utkwił mi zwłaszcza w pamięci obraz cztero-, może pięcioletniej jasnowłosej i ładnie na biało ubranej dziewczynki, która leżała na brzegu pola pomidorów na wznak zabita, trzymając w małej rączce dojrzałego czerwonego pomidora”. Mały Sławomir Szubko widział po kilkanaście trupów przy każdej studni – ludzi, których pragnienie było silniejsze niż strach przed kulami. Był też świadkiem sceny podobnej do tej, którą widział Piekarek: „W pewnym momencie jakiś ryzykant wybiegł z kolumny. Chciał narwać pomidorów, schować je za pazuchę i do spodni, aby zaspokoić pragnienie zwilżenia ust dla wielu spragnionych ludzi. Niestety, nie udało mu się. Został zastrzelony w upragnionych pomidorach”.

Pozostałych zagnano do Jelonek, podmiejskiej wsi, dziś dzielnicy Warszawy. Zapędzono do porośniętych trawą dołów. Pojawili się mieszkańcy Jelonek z żywnością i wodą. Ziemią popłynęła woda puszczona z hydrantu lub pompy. Ludzie nie mieli naczyń, pili ją prosto z ziemi. W zamieszaniu wiele osób próbowało uciekać. Chowali się w domach mieszkańców Jelonek. Ci pomagali bardzo ofiarnie, ale warszawiacy – w zasadzie wyłącznie kobiety z dziećmi, bo mężczyzn prawie tam nie było – musieli uciekać dalej jeszcze tego samego dnia. Niemcy urządzili na nich obławę, a schwytanych kierowali do obozu przejściowego w Pruszkowie. A dalej tak jak inni – do obozów koncentracyjnych, pracy przymusowej lub roziedlenia w innych miejscowościach Generalnego Gubernatorstwa.

6 sierpnia Niemcy zrezygnowali z mordowania wszystkich bez wyjątku. Reinefarth z trudem się z tym pogodził. Żalił się, że nie ma dość amunicji, aby dalej zabijać wszystkich – co z pewnością nie wynikało z niedostatku zapasów wojennych, lecz było wyrazem jego okrucieństwa. Bezpośrednim świadkiem tych słów był porucznik Wehrmachtu Hans Thieme, po wojnie znany w RFN wykładowca prawa. Thieme był zastępcą dowódcy baterii artylerii, przysłanej jako wsparcie dla 608. pułku piechoty Schmidta, który z kolei należał do grupy Reinefartha. Tego dnia, w niedzielę, Thieme i jego dowódca mjr Weiss, krótko po przybyciu do Warszawy, szukali dowódców oddziałów tłumiących Powstanie, w tym Reinefartha. Wjechali ul. Wolską. Już przy cerkwi zobaczyli masę trupów i niemieckich żołnierzy rabujących dobytek ofiar. Reinefarth ze swoim sztabem stacjonował w dwóch autobusach stojących przy ul. Wolskiej, koło jej skrzyżowania z ul. Syreny, czyli tuż obok zamienionego wtedy na obóz przejściowy kościoła św. Wojciecha. W tym czasie, gdy Thieme dojechał do sztabu Reinefartha Wolską – w kierunku zachodnim – szła kolumna wypędzanych warszawiaków.

„Niekończąca się” – jak sam napisał: „Był to obraz bóleści, na widok którego stanęły nam łzy w oczach. Herr Reinefarth powiedział do mojego dowódcy: «Niech Pan spojrzysz, to jest nasz najcięższy problem: nie mamy tyle amunicji, aby ich wszystkich zabić»”.

*Herr Reinefarth powiedział do mojego dowódcy: «Niech Pan spojrzysz, to jest nasz najcięższy problem: nie mamy tyle amunicji, aby ich wszystkich zabić»*

Natarcie Niemców szło ul. Chłodną, która jest przedłużeniem ul. Wolskiej. Wtedy był to główny wjazd do centrum Warszawy od strony zachodniej i dzielnicy Wola.

Natarciu towarzyszyły mordy na ludności cywilnej. Niemcy dokonywali równocześnie podobnych bestialstw wobec wypędzanych z miasta warszawiaków. Po 6 sierpnia przy Chłodnej 54 Niemcy zastrzelili kilkanaście osób, w tym kilka kobiet. Chłodna 58 – około 8 sierpnia straciło tam życie kilkunastu mężczyzn i dwóch niepełnoletnich chłopców. Chłodna 62 – 6 sierpnia o godz. 3.30 w nocy Niemcy wdarli się od strony podwórza, frontowa brama była bowiem mocno zabarykadowana. Wszyscy mężczyźni w liczbie około czterdziestu, z wyjątkiem jednego kolejarza, zostali rozstrzelani na miejscu. Chłodna 66 – kilkanaście ofiar. Następny dom – Chłodna 68 – zginęło około 15 mężczyzn wypędzonych z tego domu. 8 sierpnia, gdy Chłodną pędzono ludzi wyganianych z Warszawy, odbyło się bestialstwo, które co najmniej kilka razy widziano potem na Woli. Niemiec wyrwał z ramion matki niemowlę i wrzucił je do płonącego kina „Kometa” (Chłodna 47-49).

Wczesnym rankiem Niemcy pognali do kościoła św. Wojciecha ludzi przetrzymywanych przy klasztorze redemptorystów. Mężczyźni, wśród nich księża i bracia redemptoryści, zostali oddzieleni od kobiet i przeprowadzeni naprzeciw kościoła na teren posesji Wolska 81. Był tam skład maszyn rolniczych firmy „Kirchmayer i Marczewski”. Zabijanie zaczęło się około 10 rano. Najpierw wprowadzono pierwszych dwunastu zakonników. Po chwili było słychać dwanaście pojedynczych strzałów. Następnie została prowadzona kolejna dwunastka. „Ojcowie stali w luźnym dwuszeregu, twarzami ku spalonym kamienicom. Stali spokojnie, jak skamieniali. Wtenczas na naszych oczach rozpoczęto strzelać do ojców. Wyższy gestapowiec podchodził po kolei do każdego z tyłu i strzelał z automatu w kark, a gdy ciało omdlałe opadło, jedną i drugą serią z automatu dopełniał zbrodni. I tak zastrzelił wszystkich. Pozostawił tylko ojca przełożonego”, co – według Czesława Cieplika, autora tego świadectwa – wyglądało tak, jakby Niemcy celowo chcieli, aby o. Józef Kania – rektor klasztoru przy Karolkowej – widział śmierć podległych mu współbraci. Po kilku minutach i on został zastrzelony. Niemcy zastrzelili 15 ojców redemptorystów, 9 braci zakonnych i 6 kleryków z klasztoru na Karolkowej. Trzech ojców zginęło w klasztorze. W trakcie wypędzania Niemcy odłączyli dwóch ojców – Tadeusza Dolińskiego i Henryka Kotyńskiego – i kazali im wrócić do klasztoru, aby zostali z niezdolnym do poruszania się o własnych siłach o. Edmundem Górskim.

Kilka godzin po egzekucji zakonników przy ul. Wolskiej Niemcy ponownie wtargnęli do klasztoru i zastrzelili trzech duchownych. Z całego klasztoru przy Karolkowej Rzeź przeżył tylko jeden jego mieszkaniec – o. Jan Piekarski. W chwili wybuchu Powstania był poza Warszawą. Walki uniemożliwiły mu powrót do współbraci. Po rozstrzelaniu pięciu grup oddział egzekucyjny dostał rozkaz

zaprzestania dalszego zabijania. Zwłoki zostały spalone na miejscu. W końcu lutego 1945 r. miejsce śmierci współbraci widział redemptorysta o. Jan Igielski. W pobliżu stosu znalazł kilkanaście kluczy do drzwi i kilka charakterystycznych medalików, które nosili członkowie jego zakonu.

Oprócz 30 księży i zakonników redemptorystów byli tam mordowani cywile z zachodnich części Woli – głównie ul. Płockiej, Krochmalnej, Towarowej. Razem z nimi zginęło około 50 Żydów – obywateli greckich, węgierskich i rumuńskich – więzionych w Warszawie w obozie „Gęsiówka”. Być może dla tych nieszczęśników odrobiną radości mogło być to, że tuż przed śmiercią zaznali trochę wolności. 5 sierpnia zostali wyzwoleni przez oddziały powstańcze. Później jednak znów wpadli w ręce oprawców.

Naocznym świadkiem śmierci redemptorystów i innych był Stanisław Jaworski, który tuż po wojnie złożył zeznanie. Ocalał cudem, ale chwilę wcześniej, zanim został wydany rozkaz wstrzymania egzekucji, zginął jego syn, który znalazł się w ostatniej rozstrzelanej dwunastce. „W 5-tej dwunastce poszedł mój syn, w 6-tej ja się znalazłem. Po przejściu bramy zobaczyłem w głębi pod płotem, biegnącym równoległe do ulicy Wolskiej – 2 szopy. (...) Zobaczyłem wtedy, że od brzegu szopy aż po ścianę w głębi leżą zwłoki jedne na drugich do wysokości pół metra. (...) W chwili gdy znajdowaliśmy się o 4–5 metrów od szopy, wjechał na podwórze motocykl, wysiadł niemiecki podoficer i podał jakieś pismo prowadzącym nas SS-manom. W podwórzu, oprócz tych kilku «ukraińców», którzy nas prowadzili, znajdowała się duża grupa «ukraińców» i SS-manów. Po przeczytaniu pisma, podoficer kierujący dotychczas egzekucją zawołał «raus», poczem naszą dwunastkę wyprowadzono na ul. Wolską (...)”. Grupa, w której szedł Jaworski,

została poprowadzona na ul. Sokołowską. Obok kościoła Jaworski zobaczył równo ułożony „wał trupów”, wysoki na dwa metry. Według jego zeznania mogło tam leżeć około 400 ciał.

*Grupa, w której szedł Jaworski, została poprowadzona na ul. Sokołowską. Obok kościoła Jaworski zobaczył równo ułożony „wał trupów”, wysoki na dwa metry. Według jego zeznania mogło tam leżeć około 400 ciał*

Kilkaset osób przetrzymywanych na ul. Karolkowej, na placu przed kościołem redemptorystów, zostało tam rozstrzelanych. „W pewnej chwili z ulicy Karolkowej, koło kościoła, dały się słyszeć płacze, krzyki

i jęki wydawane przez ogromną ilość osób. Po chwili rozległy się salwy karabinów maszynowych i wszystko umilkło” – pisał w swej relacji Jan Gadaliński. Z zawodu był konduktorem tramwajowym, miał 36 lat. Mieszkał na sąsiedniej ul. Krochmalnej, ale w najniebezpieczniejszych momentach 5 sierpnia udało mu się, wraz z rodziną, przemknąć na teren zajezdni tramwajowej i tam ukryć się pod wagonami, w kanale remontowym. Gdy zapadł zmrok, obok ich ukrycia pojawiła się grupa ludzi, prawdopodobnie ocalałych z tej egzekucji. „Byli on w takim obłąkańczym stanie, że nie można było dowiedzieć się, skąd przyszli, co przeżyli”. Młodszy brat Gadalińskiego przemknął się następnego dnia w pobliże miejsca zbrodni. Ujrzał tam stosy ułożonych trupów.

Strzelec „Murarz” i kilku jego kolegów w trakcie walk zgubili swój oddział. Ukrywali się w piwnicach. W niedzielę rano odkryli ich Niemcy. „Wbiegli do piwnic, wyciągnęli nas. Podzielili osobno kobiety i dzieci, a nas mężczyzn osobno. Wtedy kilka mężatek zgwałcili i poprowadzili kobiety i dzieci na przeciwną stronę ulicy do pałacyku hrabiego Biernackiego”. Pałacyku, czyli klasztoru karmelitanek. Mężczyzn zagnano do domu przy Wolskiej 26: „Kiedy wbiegliśmy na podwórko przy akompaniamencie muzyki fortepianowej, rozbawieni, upici Niemcy rzucali w nas butelkami po wypitym alkoholu, a nas z podniesionymi rękami pognali na drugie podwórko Wolskiej 26. Tam stanęliśmy już na trupy rozstrzelanych mężczyzn, którzy przed nami byli już rozstrzelani. Stanęliśmy na trupach z podniesionymi rękami. Tak staliśmy długo, czas się dłużył, aż wreszcie przyszedł niemiecki żołnierz z ręcznym karabinem maszynowym – bergmanem – ustawiał go na nóżkach, założył taśmę karabinu maszynowego do bergmana. Zauważyłem, bo cały czas patrzyłem spod ręki, co się dzieje za nami, więc ten żołnierz ustawiał karabin maszynowy, założył do niego taśmę, ale on się chwiał razem z karabinem, bo był bardzo pijany i długo mu to schodziło. Kiedy już wszystko było gotowe, oficer wyjął rewolwer z kabury, wystrzelił i na ten znak warknął i zaterkotał karabin maszynowy, a my staliśmy pod ołowianym deszczem i śmierć nas kosiła. Tego, co się stało później, nikt nie mógł przewidzieć. Usłyszeliśmy znów tupot butów żandarmów, którzy przechodzili ulicą Wolską i usłyszeli karabin maszynowy. Wbiegli na podwórko, krzycząc, żeby nie rozstrzeliwać. Nie dlatego, żeby nas nie rozstrzeliwać, tylko dlatego, że byliśmy im potrzebni jako siła robocza, więc kazali nam się odwrócić od ściany”.

*Wbiegli na podwórko,  
krzycząc, żeby nie  
rozstrzeliwać. Nie dlatego,  
żeby nas nie rozstrzeliwać,  
tylko dlatego, że byliśmy im  
potrzebni jako siła robocza,  
więc kazali nam się odwrócić  
od ściany*

Tuż obok miejsc, o których opowiadał „Murarz”, stoi do dzisiaj szkoła przy ul. Karolkowej. Na tym odcinku ulicy to jedyny zachowany przedwojenny obiekt. Ściślej biorąc dwa – budynek szkoły i obok domek dla pracowników –

przed wojną parterowy, potem podwyższony o jedną kondygnację. W pobliżu mieszkała rodzina Karwatów. Franciszek, głowa rodziny, pracował w położonej obok Wytwórni Aparatów Piwnych i Urządzeń Gastronomicznych, której właścicielem był jego brat. Słyszał o tym, że będzie Powstanie, ale nie wierzył w możliwość jego wybuchu, więc uznał, że nie ma potrzeby wyjazdu z miasta. Odesłał poza Warszawę tylko zdjęcia rodzinne i swoje garnitury. Został z żoną i 7-letnią córką Danusią. 5 sierpnia wytwórnia zaczęła płonąć, Karwat próbował ją gasić, ale został postrzelony. To był wstęp do cierpień jego rodziny. Niemcy i ich wschodni pomocnicy pojawili się w niedzielę rano. Wyprowadzili mieszkańców kilku okolicznych kamienic na wielkie piaszczyste podwórko. Rozdzielili kobiety i mężczyzn, nad którymi zaczęli się znęcać, wydając komendy „padnij” i „powstań”. Wszyscy czekali na rozstrzelanie. Mała Danusia siedziała naprzeciw wycelowanej lufy karabinu maszynowego: „Podchodząc do Niemca na kolanach, prosiłam go, czy mogę podać pić tacie, który jest postrzelony. Niemiec mnie pogłaskał i powiedział, że tatuś pójdzie do szpitala i wszystko będzie dobrze. Obok leżała dziewczyna, córka kierownika

szkoły przy Karolkowej, postrzelona w pierś, która krzyczała: «Tato, dobij mnie!». Ojcu nie pozwolili zbliżyć się do córki. Około południa przyjechał na motorze niemiecki oficer, który kazał przerwać egzekucję». Rozkaz dotyczył tylko kobiet i dzieci, które pognano do kościoła św. Wojciecha, a stamtąd do obozu w Pruszkowie. Mężczyźni zostali zaprowadzeni do fabryki Franaszka, gdzie Niemcy ich zastrzelili. Tam Danusia straciła ojca. We wspomnianym domku przy szkole były dwa mieszkania: jedno zajmował kierownik szkoły, drugie woźny Stanisław Falkowski. W 1944 r. już nie żył, bo trzy lata wcześniej został zakatowany w niemieckim areszcie. Mieszkanie zajmowała jego rodzina – wdowa po nim, 22-letnia córka Helena i synowie: 27-letni Józef, 23-letni Wacek i 16-letni Wiktor. Józef, z zawodu tokarz, był od kilku miesięcy żonaty. Jego żona Zofia była w ciąży, o czym wtedy jeszcze nie wiedziała.

W niedzielę rano zostali wypędzeni z mieszkania, tak jak wszyscy ich sąsiedzi. Idąc, ujrzeni rosnące przy następnej ulicy drzewo, kasztanowiec, na którym Niemcy powiesili młodego powstańca. Schwytani zostali rozdzieleni. Kobiety trafiły do kościoła św. Wojciecha. Najmłodszy z braci, Witek, wyglądał na młodszego, niż był faktycznie, więc szczęśliwie nie został z mężczyznami. Kobiety odchodząc z Karolkowej, usłyszały strzały. Po wojnie otrzymały potwierdzenie, że ich mężczyźni właśnie wtedy zostali zamordowani. Tuż po wyzwoleniu ktoś znalazł notes z zapiskami Józefa i przekazał go do PCK. Stamtąd trafił do młodej wdowy Zofii:

„Najdroższa Moja Rodzino! Może ktoś z Was przeżyje z Falkowskich. Ja Józiek Falkowski i brat mój Wacek byliśmy ranni, gdyż nie od razu nas zabili. Wacka dobili w poniedziałek po Przemienieniu Pańskim, był ranny w nogę, tak nam żal było umierać. Ja jestem ranny w rękę, w dłoń

i w ucho. Już mnie gangrynuje. Chciałem stąd uciekać, ale nie można, a teraz to już nie ma po co, bo bez ręki można żyć, ale jak ucho gangrynuje, to trzeba umierać. Gdybym nie był ranny, to tu jest co jeść, tylko mnie się wcale nie chce. Och, jaki tu straszny zaduch i moja ręka strasznie śmierdzi. Żegnajcie, najdrożsi, bo się na ziemi nie zobaczymy. Wacek leży na Karolkowej 60, osobno od grupy zabitych. Wiem, że dużo ludzi prowadzą do Getta, bardzo mało pędzą na Wolę. Kochani, choć jak mi żal, bo nie wiem, co z Wami i czy w ogóle będziecie to czytać, jeśli znajdziecie, lub dojdzie do rąk Waszych, wiedźcie, że o Was myślałem do śmierci. I za duszę moją módlcie się. Żono najukochańsza, żegnaj mi, Ty i matka moja śniłyście mi się”

*Żegnajcie, najdrożsi, bo się na ziemi nie zobaczymy. Wacek leży na Karolkowej 60, osobno od grupy zabitych*

Każda kartka była podpisana „Józef Falkowski” i pobrudzona rdzawymi plamami krwi. Rodzina nie znalazła ciała Józefa i

Wacława Falkowskich. W lutym 1945 r. Zofia urodziła synka, który jednak zmarł w wieku czterech miesięcy. Tego samego dnia z piwnicy domu Wolska 15 została wyciągnięta przez Niemców Mirka Grabowska, jej siostra, mama, ojciec oraz wszyscy sąsiedzi. Z hukiem zostały otwarte drzwi, wszyscy usłyszeli wrzask „raus!”, ujrzeli rozkraczonych Niemców i wycelowane lufy karabinów. Mieli szczęście, bo przecież kilka domów dalej – pod „siódemką” – Niemcy zamordowali kilkanaście osób. Tu ich „tylko” wygnali. Być może nie strzelali dlatego, że jako pierwsza poszła odważnie kobieta o nazwisku Laszczukowa ze swoim maleńkim, półrocznym synkiem na rękach. Trzeba było wychodzić bezzwłocznie, tak że nie było czasu na zabranie żadnych rzeczy. W zamieszaniu mama Mirki zapomniała wziąć nawet dwa ostatnie,

przechowywane na czarną godzinę, bochenki chleba. Ulica, niewidziana przez sześć spędzonych w piwnicy dni, zmieniła się nie do poznania: „Żadne przymiotniki nie opiszą tego, co wtedy zobaczyłam. Latarnie powyrywane z chodników wyglądały jak połamane zapałki. Tramwaje leżały, jak poprzewracane na grzbiet żuki, kostki bruku zostały wydarte z ulicy, wszędzie było mnóstwo potłuczonego szkła”. Dalej szli „tunelem ognia”, czyli Wolską. Po drodze mijali płonące domy, skąd dobiegały krzyki żywcem palonych ludzi. Przechodzili obok wielkich całopalnych stosów przy parku Sowińskiego, gdzie spopielone zostały ciała wymordowanych mieszkańców zachodniej części Woli. Dalej czekał ich 20-kilometrowy marsz do obozu w Pruszkowie. „Wkrótce minęliśmy granice Warszawy. Niedaleko Jelonek obejrzałam się – zobaczyłam tylko ogromną, krwawą łunę. Przez łzy patrzyłam na ogarnięte pożogą miasto, które dogorywało w rozpaczliwej, samotnej agonii...” – relacjonowała Mirka Grabowska.

Tekst pochodzi z książki „Rzeź Woli” autorstwa Piotra Gursztyna. Publikujemy go za uprzejmą zgodą wydawnictwa Demart



